

FREDERICK FORSYTH WET ZA WET



Prawdziwy fachowiec

Mark Sanderson lubił kobiety. Podobnie jak befsztyki z polędwicy krów rasy Aberdeen angus, średnio wysmażone i z sałatką na bazie wewnętrznych liści główki sałaty, polanych dressingiem. Jednymi i drugimi delektował się z taką samą – i równie przelotną – przyjemnością. Kiedy więc nachodziła go chętka na małe co nieco, telefonicznie zgłaszał zapotrzebowanie właściwemu dostawcy, a ten podsyłał mu zamówiony towar do luksusowego apartamentu. Mógł sobie na to pozwolić, dysponował bowiem wielomilionowym majątkiem, w dodatku liczonym w funtach szterlingach, które nawet w tych niespokojnych gospodarczo czasach i tak warte są dwukrotnie więcej niż dolary.

Jak większość bogatych ludzi sukcesu, dzielił życie na trzy sfery: znaną publicznie zawodową, młodego zdolnego potentata londyńskiego City; prywatną, aczkolwiek określenie to w świetle faktu, że niektórzy lubią się obnosić ze swoją prywatnością w blasku reflektorów, może być nieco mylące; i wreszcie skrzętnie ukrywane życie intymne.

O pierwszej sferze regularnie informowały działły

gospodarcze i serwisy ekonomiczne najpoważniejszych gazet oraz stacji telewizyjnych. W połowie lat sześćdziesiątych Sanderson, nadrabiając braki w wykształceniu niezwykle wręcz nosem do lukratywnych interesów, znalazł pracę w londyńskiej agencji nieruchomości na West Endzie. W ciągu zaledwie dwóch lat zgłębił wszystkie reguły gry rządzące tą branżą, a co ważniejsze, nauczył się, jak obchodzić je w majestacie prawa. Mając dwadzieścia trzy lata, po raz pierwszy sfinalizował transakcję na własne konto, zarabiając na sprzedaży rezydencji mieszkalnej w St John's Wood – bagatela! – dziesięć tysięcy funtów w ciągu dwudziestu czterech godzin. Założył za nie Hamilton Holdings, która to firma szesnaście lat później nadal stanowiła główne źródło jego bogactwa. Nazwał ją na cześć swojego pierwszego samodzielnego interesu, rezydencja mieściła się bowiem przy ulicy Hamilton Terrace. Od tej pory nigdy więcej nie kierował się już sentymentami. W lata siedemdziesiąte wszedł z pierwszym milionem na koncie i przerzucił się z handlu rezydencjami mieszkalnymi na powierzchnie biurowe. W połowie tej dekady wart był blisko pięć milionów funtów i rozszerzył zakres działalności. Wszystko, czego się dotknął, zamieniał w złoto, czy to w grze na giełdzie, w bankowości, branży chemicznej, czy też inwestując w wakacyjne kurorty nad Morzem Śródziemnym, dokładnie tak, jak to było w przypadku rezydencji z St John's Wood. Donosiła o tym prasa branżowa z City, ludzie w to wierzyli i w rezultacie akcje dziesięciu firm wchodzących w skład Hamilton Holdings stale zwyżkowały.

O jego życiu prywatnym można było poczytać w tych samych gazetach, tyle że kilka stron wcześniej. Posiadacz

luksusowego apartamentu w Regent's Park, elżbietańskiej posiadłości w Worcestershire, zamku w dolinie Loary, willi w Cap d'Antibes, jachtu, lamborghini oraz rolls-royce'a, stale fotografujący się w otoczeniu coraz to nowych młodych, wysportowanych gwiazdek filmowych, które pokazywano także baraszkujące w jego czterometrowym okrągłym łożu, stanowił obiekt nieustającej fascynacji pismaków z działu plotkarskiego „Daily Express”. Pół wieku wcześniej wzmianka o nim podczas rozprawy rozwodowej zarabiającej miliony aktorki albo sprawa o ustalenie ojcostwa, wytoczona mu przez śniadorską finalistkę wyborów Miss World, pewnie by go zniszczyły, ale pod koniec lat siedemdziesiątych zdarzenia takie stanowiły jedynie dowód – obecnie często jakże potrzebny – jego jurności, co w kręgach najbardziej rozrywanych przedstawicieli londyńskiej elity samo w sobie wydawało się dostatecznie niezwykle, by wzbudzać podziw. Tak, o Sandersonie było naprawdę głośno.

Zupełnie inaczej rzecz się miała z jego życiem intymnym, które można by podsumować jednym słowem – nuda. Na samą myśl o związanych z tym korowodach Mark Sanderson nudził się jak mops. Jak niegdyś pokpiwał sam z siebie, „Markowi spełniają się życzenia, zanim je wypowie”, ale ten ukuty przez niego żart teraz już zakrawał na ponurą farsę. Wysportowany, z chmurną miną à la Marlon Brando, w wieku trzydziestu dziewięciu lat wciąż prezentował się świetnie, mimo to doskwierała mu samotność. Miał świadomość, że marzy mu się związek, bynajmniej nie tabuny kobiet, tylko ta jedna jedyna, z którą chciał spędzić dzieci, osiąść na wsi i stworzyć prawdziwy dom. Zdawał sobie jednak sprawę, że szanse są znikome, bo miał dość

jasno sprecyzowaną wizję przyszłej wybranki, a od dobrych dziesięciu lat nie spotkał takiej, która by spełniała jego wymagania. Jak większość bogatych podrywaczy, pociągały go wyłącznie takie kobiety, którym nie imponowały jego powszechnie znane bogactwo, władza i sława. Ale w przeciwieństwie do większości bogatych podrywaczy zachował na tyle zdrową ocenę sytuacji, że potrafił się do tego przyznać, przynajmniej sam przed sobą. Bo gdyby to wyznał publicznie, ludzie zabiliby go śmiechem.

I kiedy już był święcie przekonany, że nic takiego go nie czeka, spotkał ją na początku lata, na jakimś bankiecie dobroczynnym – jednej z tych imprez, na których wszyscy nudzą się śmiertelnie, a skromniutki dochód z biletów po odliczeniu kosztów ledwo wystarcza na szklankę mleka w Bangladeszu. Stała po drugiej stronie sali, słuchając niskiego grubasa, który rekompensował sobie mikry wzrost długą smugą cygarem. Na jej ustach igrał cień uśmiechu, ale nie sposób było się zorientować, co bardziej ją bawi – anegdotka kurdupla czy jego groteskowe próby zapuszczenia żurawia w głąb jej dekoltu.

Sanderson podszedł do nich od niechcienia, a ponieważ znał przelotnie grubasa – producenta filmowego – został przedstawiony kobiecie. Nazywała się Angela Summers. Podała mu chłodną dłoń o długich, wypielęgnowanych paznokciach. Na serdecznym palcu drugiej, w której trzymała kieliszek czegoś, co wyglądało na gin z tonikiem, a okazało się tonikiem bez alkoholu, nosiła wąską złotą obrączkę. Sanderson nie widział w tym najmniejszej przeszkody, męzkatki padały jego łupem równie łatwo jak panny. Spławił więc producenta i przeszedł z kobietą na stronę, by móc

porozmawiać w spokoju. Podniecała go, co oczywiste, lecz także fascynowała, a to zdarzało się rzadko.

Pani Summers – wysoka, prosta jak świeca i opanowana – miała piękną twarz, aczkolwiek odbiegała urodą od panującej aktualnie mody. A już z figury na pewno nie przypominała chudego jak patyk ideału lat osiemdziesiątych – miała wydatny biust, wąską talię, wyraźnie zarysowane biodra i długie nogi. Zwinięte w kok błyszczące kasztanowe włosy świadczyły nie tyle o zamożności, ile o zdrowiu. Prosta biała sukienka uwydatniała jej złocistą opaleniznę, a brak biżuterii oraz makijażu, pomijając dyskretne podkreślenie oczu, odróżniał ją od reszty dam. Na oko dał jej trzydziestkę, później zaś dowiedział się, że miała trzydzieści dwa lata.

Założył, że opalenizna jest wynikiem tradycyjnego zimowego wypadu na narty, który się przeciągnął do kwietnia, albo wiosennego rejsu po Karaibach, co by znaczyło, że albo ją, albo jej męża stać na życie na takiej stopie, podobnie jak pozostałe obecne w sali kobiety. W obu tych kwestiach się mylił. Jak mu zdradziła, mieszkali z mężem w domku na wybrzeżu Hiszpanii, a utrzymywali się z jego mizernych honorariów za książki o ptakach i z jej zarobków za lekcje angielskiego.

Patrząc na jej ciemne włosy i oczy, dumną postawę oraz złocistą skórę, w pierwszej chwili wziął ją za Hiszpankę, lecz była rodowitą Angielką, tak jak on Anglikiem. Wyjaśniła, że przyjechała w odwiedziny do mieszkających w środkowej Anglii rodziców, a dawna koleżanka ze szkoły namówiła ją, by przed powrotem spędziła tydzień w Londynie. Miło mu się z nią rozmawiało. Ani mu nie schlebiała, co doskonale pasowało do jego nastroju, ani nie kwitowała jego żartów

kaskadami śmiechu.

– I co pani sądzi o śmietance towarzyskiej Londynu? – zapytał, kiedy stojąc pod ścianą, przyglądali się zebranim.

– Chyba nie to, co wypada – odparła w zamyśleniu.

– Są jak stado zamkniętych w słoiku papug – podsumował bezlitośnie.

Uniosła brew.

– A mnie się zdawało, że Mark Sanderson jest jednym z filarów tutejszej socjety. – Flirtowała z nim, dyskretnie, acz nie dwuznacznie.

– Czyżby wieści o naszych dokonaniach docierały aż do Hiszpanii? – odparował.

– Nawet na Costa Blanca czytamy „Daily Express” – odrzekła z udawaną powagą.

– A w nim o życiu i czasach Marka Sandersona?

– O tym też – przyznała cicho.

– I jest pani pod wrażeniem?

– A powinnam być?

– Nie.

– Wobec tego nie jestem.

Odpowiedź przyjął z wyraźną ulgą.

– Cieszę się – przyznał. – Ale jeśli wolno spytać: dlaczego? Zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

– Bo wszystko to trąci fałszem na odległość – odparła w końcu.

– Ja również?

Spoglądał na jej łagodnie falujące piersi pod prostą białą sukienką z bawełny, gdy nagle obróciła głowę i spojrzała na niego.

– Nie wiem – odpowiedziała poważnie. – Ale wydaje mi

się, że w głębi ducha chciałby pan być porządnym człowiekiem.

Te słowa zbiły go z tropu.

– To źle się pani wydaje – odburknął, co skwitowała tolerancyjnym uśmiechem, jakby miała przed sobą marudzącego rozpuszczonego bachora.

Kilka minut później przyszli po nią przyjaciele, obsypali Sandersona komplementami i zaczęli się zbierać. Odprowadzając Angelę Summers do wyjścia, szeptem zaprosił ją na jutro na kolację w restauracji. Od lat z nikim nie umawiał się w ten sposób. Nie uciekła się do wymówki, że niebezpiecznie byłoby pokazywać się na mieście w jego towarzystwie, słusznie zakładając, że zabierze ją gdzieś, gdzie nie będzie fotografów. Przez chwilę rozważała jego zaproszenie, po czym odparła:

– Tak, wybiorę się z przyjemnością.

Myślał o niej przez całą noc, zaniedbując nietracącą nadziei, chudą jak szczapa modelkę, którą poderwał nad ranem w klubie Annabel's. Leżał na wznak, gapił się w sufit, a wyobraźnia podsuwała mu obrazy połyskliwych kasztanowych włosów rozsypanych obok na poduszce i miękkiej złocistej skóry pod palcami. Gotów był iść o zakład, że Angela śpi cicho i spokojnie – tak, jak zachowywała się w każdej innej sytuacji. W ciemności wyciągnął rękę, chcąc popieścić piersi modelki, lecz namacał tylko oklapłe w wyniku głodowej diety pryszcze, za to usłyszał teatralny jęk udawanego podniecenia. Poszedł do kuchni, zaparzył kawę i popijał ją, siedząc po ciemku w salonie. I tkwił tam nadal, wyglądając przez okno na drzewa w parku, kiedy w oddali, nad moczarami Wanstead, wstało słońce.

• • •

Jak na romans tydzień to trochę za krótko, ale dostatecznie długo, by zmienić życie człowieka, a nawet dwóch czy trzech osób. Kiedy podjechał po nią nazajutrz wieczorem, zeszła i wsiadła do samochodu. Wysoko upięte włosy, biała marszczona bluzka z zebranymi w mankiet szerokimi rękawami i czarna długa spódnica, mocno ściągnięta w talii szerokim paskiem, skojarzyły mu się z epoką edwardiańską i go podnieciły, tak dalece ten zaskakujący wizerunek odbiegał bowiem od tego, jak widział ją oczyma wyobraźni ubiegłej nocy.

Wypowiadała się prosto, ale inteligentnie i z uwagą słuchała, jak opowiadał o swoich interesach, chociaż rzadko poruszał takie tematy w obecności kobiet. W miarę upływu czasu coraz dobitniej uświadamiał sobie, że to, co do niej czuje, nie ma nic wspólnego z przelotnym zauroczeniem ani tym bardziej z prostackim pożądaniem. Podziwiał ją. Emanowała pogodą ducha, opanowaniem i samokontrolą, które napawały go spokojem i dawały poczucie bezpieczeństwa.

Zdał sobie sprawę, że coraz swobodniej opowiada jej o tym, co zwykle zachowywał dla siebie – o swoich interesach, o znudzeniu wszechobecną rozwiązłością, którą pogardzał, chociaż skwapliwie z niej korzystał. Nie zawsze wiedziała, o czym mówił, ale go rozumiała, co u kobiety jest o wiele ważniejsze niż gruntowna wiedza. Minęła północ, restauracja zamykała podwoje, a oni wciąż siedzieli przy stoliku w rogu, pogrążeni w rozmowie. Bardzo uprzejmie odmówiła zaproszenia na pożegnalną szklaneczkę w jego apartamencie

– z czymś takim nie spotkał się od lat.

W połowie tygodnia przyznał się sam przed sobą, że jest zadurzony jak siedemnastoletni uczeń. Zapytał ją o ulubione perfumy i dowiedział się, że są to Miss Dior – z rzadka pozwalała sobie na zakup trzydziestomililitrowego flakonika w strefie bezcłowej podczas lotu samolotem. Wysłał więc służącego na Bond Street i wieczorem podarował jej największą butelkę tych perfum, jaką można było dostać w Londynie. Przyjęła ją z niekłamaną radością, natychmiast jednak zaprotestowała przeciwko jej rozmiarom.

– To wyrzucanie pieniędzy – oceniła.

Poczuł się zażenowany.

– Chciałem ci ofiarować coś specjalnego – wyjaśnił.

– Ale na pewno wydałeś majątek – zganiła go surowo.

– Przecież wiesz, że mnie na to stać.

– Prawdopodobnie, i jestem naprawdę wdzięczna, ale na przyszłość nie kupuj mi tak drogich prezentów. To szczyt rozrzutności – oświadczyła stanowczo.

Zanim nastał weekend, zadzwonił do swej rezydencji w Worcestershire, polecił włączyć ogrzewanie wody w basenie i w sobotę podjechał samochodem po Angelę. Spędzili w posiadłości cały dzień. Mimo chłodnego majowego wiatru popływali, ponieważ kazał otoczyć basen z trzech stron przesuwanymi szklanymi parawanami. Wyszła z przebieralni w białym jednoczęściowym kostiumie kąpielowym z frotté, a jemu na ten widok zapało dech w piersiach. Wspaniała kobieta, powtarzał sobie – i to pod każdym względem.

Po raz ostatni spotkali się na mieście w przeddzień jej powrotu do Hiszpanii. Długo całowali się, siedząc po ciemku w rollisie zaparkowanym w bocznej uliczce niedaleko domu

koleżanki, u której się zatrzymała, gdy jednak spróbował wsunąć rękę pod jej sukienkę, powstrzymała go delikatnie, lecz stanowczo.

Zaproponował, żeby odeszła od męża, rozwiodła się i wyszła za niego. Widząc, że nie żartuje, podeszła do sprawy równie poważnie i pokręciła głową.

– Nie mogę tego zrobić – odparła.

– Kocham cię. Nie traktuję cię jak przelotnej miłości, kocham cię bezwarunkowo, na zabój. Dla ciebie jestem gotów na wszystko.

Patrzyła prosto przed siebie, na ciemną ulicę za szybą.

– Właśnie, Mark, też mam takie wrażenie. Nie mieliśmy prawa posunąć się tak daleko. Powinam była zorientować się wcześniej i przestać się z tobą widywać.

– A ty mnie nie kochasz? Ani troszeczkę?

– Trudno powiedzieć, zbyt krótko się znamy. Nie możesz mnie tak poganiać.

– Ale możliwe, że mnie pokochasz? Jeśli nie teraz, to z czasem?

Po raz kolejny wykazała się kobiecą intuicją i potraktowała jego słowa poważnie.

– Tak sądzę. To znaczy mogłabym cię pokochać. Nie masz w sobie nic z człowieka, za jakiego próbujesz uchodzić i jakiego robią z ciebie media. Pod całą tą skorupą cynizmu jesteś delikatny i wrażliwy, a to mi się podoba.

– Więc rzuć go i wyjdź za mnie.

– Nie mogę tego zrobić. Nie odejdę od Archiego, jest moim mężem.

Słyszając, że na drodze stoi mu jakiś nieznany mężczyzna z Hiszpanii, Sanderson poczuł narastającą wściekłość.

– Co on ma takiego, czego ja nie potrafiłbym ci dać?

Uśmiechnęła się smutno.

– Ależ nic. To w gruncie rzeczy słabeusz i niezbyt radzi sobie w życiu...

– Więc dlaczego go nie zostawisz?

– Dlatego, że mnie potrzebuje – odparła po prostu.

– Mnie też jesteś potrzebna.

Pokręciła głową.

– Nie, tak ci się tylko zdaje. Pragniesz mnie, ale i beze mnie świetnie dasz sobie radę. A on nie. Nie ma na to dość sił.

– Angelo, nie chodzi tylko o to, że cię pragnę. Ja cię kocham, nikogo i niczego w życiu tak bardzo nie kochałem.

Uwielbiam cię, pożądam.

– Nic nie rozumiesz – rzuciła po chwili milczenia. – Kobiety chcą być kochane i ubóstwiają być uwielbiane. Pragną być pożądane, przede wszystkim jednak każda kobieta musi się czuć potrzebna. I właśnie Archie mnie potrzebuje, jestem mu niezbędna do życia jak powietrze.

Sanderson zdusił w popielniczce ekskluzywnego papierosa Sobranie.

– A więc zostaniesz z nim... „dopóki śmierć nas nie rozłączy” – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Nie obruszyła się na tę drwiącą uwagę, lecz przytaknęła ruchem głowy, obróciła się i spojrzała na niego.

– Owszem, właśnie tak to wygląda. Dopóki śmierć nas nie rozłączy. Nic nie poradzę, Mark, ale taka już jestem. W innym miejscu i czasie, no i gdybym nie wyszła za Archiego, sprawy potoczyłyby się inaczej, jestem prawie pewna. Ale mam już męża, więc nie ma o czym mówić.

Nazajutrz wyjechała. Kazał szoferowi odwieźć ją na

lotnisko, by nie spóźniła się na samolot do Walencji.

• • •

Odcienie wytyczające granice między miłością, pociąganiem, pragnieniem a pożądaniem są ledwo uchwytny, ale każde z tych uczuć może się przerodzić w obsesję. I wszystkie stały się obsesją Marka Sandersona, nasilającą się wraz z coraz bardziej dotkliwym poczuciem samotności. Tymczasem maj dobiegł końca i nastał czerwiec. Mark, któremu dotychczas nikt niczego nie odmawiał, w ciągu ostatniej dekady stał się moralnym kaleką, jak większość możliwych tego świata. Według niego od pożądania do podjęcia decyzji, obmyślenia koncepcji, szczegółów planu i wreszcie realizacji muszą prowadzić logiczne i precyzyjne kroki. Wtedy na końcu będzie nieuchronnie czekało osiągnięcie upragnionego celu – upolowanie zdobyczy. Z początkiem czerwca postanowił, że zdobędzie Angelę Summers. Na etapie koncepcji, kiedy zastanawiał się nad obraniem właściwej metody, po głowie bez przerwy tłukły mu się słowa przysięgi małżeńskiej zaczerpnięte z Modlitewnika Powszechnego. *Dopóki śmierć nas nie rozłączy*. Gdyby Angela była inna, gdyby imponowały jej pieniądze, luksus, władza, pozycja społeczna, nie byłoby problemu. Po pierwsze, żeby ją zdobyć, olśniłby ją bogactwem, a po drugie, gdyby nie była inna, nie pożądałby jej tak obsesyjnie. A tak gonił w piętke, wpadł w błędne koło prowadzące wprost do szaleństwa. Był tylko jeden sposób, żeby się z niego wyrwać.

Zadzwoił do agencji nieruchomości i przedstawiwszy się jako Michael Johnson, wynajął niewielkie mieszkanie na to nazwisko. Listem poleconym wysłał gotówkę na pokrycie

miesięcznego czynszu oraz drugie tyle na kaucję. Poprosił, żeby zostawić mu klucz pod wycieraczką, ponieważ przybędzie do Londynu w środku nocy.

Korzystając z mieszkania jako bazy wypadowej, zadzwonił do prywatnej agencji detektywistycznej, jednej z tych, co to nie wnikają zbyt w legalność prowadzonych operacji, i jasno wyłożył, o co mu chodzi. Na wieść, że klient pragnie pozostać anonimowy, agencja zażądała zaliczki. Wysłał kurierem pięćset funtów w gotówce.

Tydzień później pan Johnson otrzymał list z informacją, że zlecenie zostało wykonane, a do uregulowania pozostaje dwieście pięćdziesiąt funtów. Wysłał je pocztą i trzy dni później otrzymał akta, o które prosił. Pobieźnie przejrzał załączony krótki życiorys, rzucił okiem na zdjęcie portretowe wzięte ze skrzydełka książki o ptakach basenu Morza Śródziemnego, której nakład od dawna był wyczerpany, chociaż sprzedało się ledwie kilkadziesiąt egzemplarzy, po czym obejrzał parę fotografii wykonanych przez teleobiektyw. Widniał na nich niski, chuderlawy mężczyzna z wąsikami à la Charlie Chaplin i cofniętym podbródkiem. Major Archibald Clarence Summers. Oczywiście, nadal tytułuje się majorem, pomyślał z wściekłością Sanderson. Brytyjski oficer na emigracji, mieszkający w małej willi niecały kilometr od morza, na skraju zapuszczonego hiszpańskiego miasteczka w prowincji Alicante, w pół drogi między Alicante i Walencją. Wśród fotografii znalazł kilka ujęć willi. Na koniec przeczytał raport z życia mieszkańców domku, zapoznał się z porannym rytuałem picia kawy na maleńkim patiu i dowiedział się, że żona co rano odwiedza trzy córki hrabiny, a między trzecią i czwartą po południu nieodmiennie

opala się na plaży i pływa – w tym czasie mąż ślęczy bowiem nad notatkami o ptakach z Costa Blanca.

Kolejny etap rozpoczął od zawiadomienia personelu swojego biura, że aż do odwołania zamierza pracować w domu, codziennie jednak będzie się kontaktował telefonicznie. Następnym krokiem wiązało się ze zmianą wyglądu.

W tej kwestii wielce pomocny okazał się niewielki zakład fryzjerski, reklamujący się w gejowskim piśmie „Gay News”. Ścięto tam Sandersonowi długie loki i przerobiono go na prawdziwego macho, strzygąc na wojskowego jeża i farbując naturalnie ciemne włosy na jasny blond. Rezultat trwających nieco ponad godzinę zabiegów, które powinny wystarczyć na dwa tygodnie, wywołał falę zachwyty ze strony mistrza grzebienia.

Od tej pory Sanderson pilnował się, żeby zawsze wjeżdżać samochodem na podziemny parking, a tam wsiadać do prywatnej windy, którą dostawał się wprost do mieszkania na najwyższym piętrze, dzięki czemu unikał spotkania z recepcjonistą w holu. Dzwoniąc z apartamentu do znajomego dziennikarza z Fleet Street, zdobył nazwę i adres jednego z najlepszych w Londynie archiwów specjalizujących się w historii najnowszej. Biblioteka dysponowała wyborym działem encyklopedycznym oraz pokaźną kolekcją wycinków, zarówno z prasy codziennej, jak i periodycznej. Po trzech dniach przysłano mu kartę wstępu do czytelni na nazwisko Michael Johnson.

Zaczął od działu „Najemnicy”, podzielonego na mniejsze i zaopatrzonego w odsyłacze do haseł takich jak „Mike Hoare”, „Robert Denard”, „John Peters” czy „Jacques Schramme”. Podsekcje dotyczyły Katangi, Konga, Jemenu,

Nigerii i Biafry, Rodezji oraz Angoli. Przebrnął przez nie od deski do deski. Były wśród nich informacje z prasy codziennej, artykuły z periodyków, komentarze, recenzje książek, wywiady... Gdy trafiał na tytuł jakiejś książki, zapisywał nazwisko autora, przechodził do sekcji ogólnej, zdejmował tom z półki i siadał do lektury. W ten sposób przeczytał między innymi książkę o najemnikach Anthony'ego Mocklera, *Piąte komando* Mike'a Hoare'a oraz traktującą wyłącznie o Angoli *Silę ognia*.

Po tygodniu wyłowił z tego natłoku danych jedno nazwisko. Człowieka, który walczył w trzech konfliktach zbrojnych i nawet najwięksi twardziele wśród autorów pisali o nim raczej ostrożnie. Nigdy nie udzielał wywiadów, w aktach brakowało jego zdjęcia. Ale był Anglikiem. Sandersonowi pozostawało liczyć na to, że gość nadal przebywa w Londynie.

Przejmując przed laty spółkę, której główny majątek stanowiły akcje rozmaitych przedsiębiorstw niskiego ryzyka, Sanderson przy okazji stał się właścicielem całego pakietu dochodowych firm, wśród nich sklepu z cygarami, laboratorium fotograficznego oraz agencji literackiej. Nigdy jakoś nie zawracał sobie nimi głowy i się ich nie pozbył. A teraz właśnie ta agencja literacka wygrzebała mu prywatny adres autora wspomnień, które czytał w bibliotece.

Pierwotny wydawca książki nie miał powodu do podejrzeń, podał więc agencji adres, na który niegdyś wysyłał czeki ze skromnym honorarium.

Kiedy potentat finansowy, podając się za pracownika wydawnictwa, odwiedził byłego najemnika i autora w jednej osobie, stwierdził, że ten od dawna jest w kompletnej rozpisce, pije na umór i dożywa swoich dni, karmiąc się

wspomnieniami. Były najemnik liczył, że wizyta zapowiada wznowienie książki i kolejne honoraria, z rozczarowaniem przyjął więc wiadomość, że nic z tego. Od razu jednak poweselał, gdy gość zaproponował mu honorarium za pomoc w skontaktowaniu się z pewnym jego znajomkiem.

Sanderson, przedstawivszy się jako Johnson, wyjaśnił, że wydawnictwo dowiedziało się, iż dawny kolega byłego najemnika rozważa wydanie drukiem swoich wspomnień. A nie chcą, żeby inny wydawca ubiegł ich w nabyciu praw. Sęk w tym, że nie znają miejsca pobytu tego człowieka...

Na dźwięk nazwiska dawnego kolegi były najemnik aż jęknął.

– A więc zamierza wywalić kawę na ławę, co? – burknął.
– Bardzo to dziwne.

Język rozwiązał mu się jednak dopiero po szóstej podwójnej whisky i kiedy poczuł w ręku zwitek banknotów. Nabazgrał coś na kartce i wręczył ją Sandersonowi.

– Skurwiel zawsze tam pije, jeśli akurat jest w mieście – powiedział.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem Sanderson odwiedził ów lokal – dyskretny klub na tyłach Earl's Court. Facet, o którego mu chodziło, pojawił się drugiego dnia. Sanderson nie znał go ze zdjęcia, ale we wspomnieniach innego najemnika znalazł jego rysopis, włącznie ze wzmianką o bliźnie na brodzie, barman zaś na powitanie zwrócił się do gościa po imieniu, które też pasowało. Mężczyzna był smukły, barczysty i wysportowany. W lustrze za kontuarem Sanderson dostrzegł złowrogi wyraz oczu i ponuro wykrzywione usta nad kuflem piwa. Potem śledził faceta w drodze do kamienicy oddalonej o jakieś czterysta metrów

od klubu.

Patrzył z ulicy, jak na górze zapala się światło, a kiedy dziesięć minut później zapukał do drzwi, najemnik był w podkoszulku i ciemnych spodniach. Sanderson zwrócił uwagę, że przed otwarciem drzwi zgasił lampkę w przedpokoju, by pozostać w cieniu, za to widzieć swojego gościa w pełnym świetle z korytarza.

– Pan Hughes?

Mężczyzna uniósł brew.

– A kto pyta? – warknął.

– Nazywam się Johnson, Michael Johnson – odparł Sanderson.

– Nakaz przeszukania – zażądał Hughes kategorycznie.

– Nie jestem gliną, przyszedłem prywatnie – uspokoił go Sanderson. – Czy mogę wejść?

– Od kogoś pan dostał namiary na mnie? – dociekał Hughes, puszczając pytanie mimo uszu.

Sanderson podał nazwisko informatora.

– Ale za dwadzieścia cztery godziny nie będzie o tym pamiętał – dodał. – Ostatnio chleje tak, że zapomina, jak się nazywa.

Kąciki ust Hughesa drgnęły w ponurym uśmiechu.

– Ehe, to by się zgadzało. – Ruchem głowy zaprosił gościa do środka.

Sanderson minął go i wszedł do salonu wyposażonego w kilka lichych mebli, jak tysiące mieszkań na wynajem w tej części Londynu. Środek podłogi zajmował stół. Hughes wszedł za gościem i wskazał mu krzesło. Sanderson zajął miejsce za stołem, a gospodarz usiadł naprzeciwko niego.

– No więc?